

Krótka wycieczka

ANTUN ŠOLJAN

Przekład
Maciej Czerwiński



SEDNO
Wydawnictwo
Akademickie

Krótką wycieczka

Antun Šoljan

Krótką wycieczka

przełożył i posłowie napisał

Maciej Czerwiński

Tytuł oryginału: *Kratki izlet*

Wydanie polskie na podstawie: Večernji list, Zagreb 2004

Wydawca

Andrzej Chrzanowski

Redakcja i korekty

Andrzej Chrzanowski

Redakcja techniczna

Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne

Janusz Fajto

Książka została wydana przy finansowym wsparciu
Ministerstwa Kultury Republiki Chorwacji



Copyright by heirs to Antun Šoljan: Nada Šoljan

Copyright for the Polish translation by Maciej Czerwiński

Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

Warszawa 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach
jakakolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 978-83-7963-147-6

ISBN 978-83-7963-148-3 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

00-696 Warszawa

ul. J. Pankiewicza 3

www.wydawnictwosedno.pl

info@wydawnictwosedno.pl

ZACZNIJMY OD TEGO, że mój przyjaciel Roko jest dziwakiem. Można by pomyśleć, że ktoś z kurzą klatką piersiową, chudymi pociągłymi dłońmi, bezbarwnymi, rzadkimi i rozczochranymi włosami oraz grubymi szklami w okularach, które jak ślepiec przybliża do oczu rozmówcy (czy do rozmaitych niebezpiecznych urządzeń elektrycznych, a nawet do zębatych maszyn w pełnym pędzie), że ktoś taki po prostu nie może sobie pozwolić na to, by być jeszcze dziwakiem. Ale mój przyjaciel Roko należy do takiego gatunku dziwaków, nad którym czuwają bogowie.

Będzie taki chodził po ulicy i wgapiony w gołębie przesiadujące na wysokich budynkach prześlizgnie się po krawędzi szerokiej deski przerzuconej nad rozkopanym ściekiem. Wypadnie takiemu moneta (jemu zawsze coś wypadła) i poturla się w gąszcz kabli z wysokim napięciem na jakiejś budowie, a on – nie bacząc na czarne trupy czaszki ostrzegające o niebezpieczeństwie – schyli się i wydobędzie swoją własność bez uszczerbku na zdrowiu (bo bogowie akurat w tym momencie na całym świecie odłączyli prąd), po czym wlepi w was swoje niewinne i nieprzytomne spojrzenie, pytając, dlaczego stoicie i robicie wielkie oczy, jakbyście zobaczyli ducha.

Opowiadali mi ludzie znający go od dawna, w jaki sposób uniknął rozstrzelania w pierwszych dniach wojny podczas zaplanowanej eksterminacji ludności. W momencie,

gdy prężne karabiny maszynowe swoim niewyrafinowanym językiem przemówiły do szeregu skazańców, upadających jak skoszone łany pszenicy, on się właśnie wtedy schylił po swoje okulary; a one wpadły do błota pod nogi ludzi, których los, podobnie jak i jego los – przynajmniej takie można było odnieść wrażenie – zdawał się być przesądzony. Więc on runął pod ciężarem skazańców osuwających się na niego i obok niego, i szukał swoich okularów, pełzając po omacku, i rył tak pośród ciał w błocie zmieszonym z krwią z pół godziny, może godzinę, i gdy wreszcie znalazł okulary (oczywiście, w stanie nienaruszonym), natknął je na nos, podniósł się i ruszył dalej. Poszedł jakby nigdy nic. Ci, którzy opowiadają o tym zdarzeniu, mówią, że najgorszy dla niego w całym tym rozstrzeliwaniu był moment, w którym założył okulary.

Skąd o tym wiedzą, nie jest dla mnie jasne. On sam nigdy o tym nie opowiada. Raz go zagadnąłem. „Cóż ci mogę powiedzieć?”, odrzekł wzruszając ramionami. „Nie mogę tego porównać do niczego innego. Nigdy później nie byłem rozstrzeliwany”. W jego ustach zabrzmiało to tak, jakby to była wprawdzie szczęśliwa, ale jednak zupełnie oczywista okoliczność. Innych rozstrzelali później, a innych nie. „Poza tym, dlaczegoż mieliby mnie rozstrzelać?”, dorzucił.

Muszę powtórzyć raz jeszcze, że Roko jest dziwakiem. Mówię to po to, żeby móc wyjaśnić tę nerwową witalność, nieuleczalny niepokój, nieokiełznany instynkt do działania, do jakiegokolwiek działania, niezaspokojone pragnienie zmiany, które bez żadnej konkretnej przyczyny, bez żadnej namacalnej logiki, kierowały jego nieoczekiwanymi poczynaniami. Najzwyczajniej nie mógł usiedzieć w jednym miejscu. Ciągle szedł dalej, rwał się ku czemuś.

Stąd dla wielu wydawał się człowiekiem powierzchownym i niewiarygodnym, kapryśnym lub w najlepszym razie, jak to się mówi, „robił wszystko na własną rękę”, człowiekiem, z którym lepiej nie mieć nic do czynienia. Także i jemu samemu nigdy nie zależało na tym, co inni o nim pomyślą.

Manifestował swoje nastroje, niezależnie od towarzystwa, w jakim się znalazł, co z pewnością przypieczętowało jego reputację – reputację dziwaka.

Ale mimo iż miał renomę człowieka kapryśnego i upartego, ludzie do niego lgnęli. Zawsze skupiał wokół siebie wiele osób. Czy jego wrodzony urok odpowiadał za tę magnetyczną siłę oddziaływania, za tę nęcącą obietnicę, że coś się „wydarzy”, czy też może w jego bliskości coś się rzeczywiście „wydarzało”, więc to bardziej interesowało ludzi niż on sam – tego nie wiem. Wiem jedno. Prawie nigdy nie widziałem go w odosobnieniu. Wokół niego zawsze byli jacyś nowi ludzie (rzadko zdarzało się, że ci, którzy go opuścili, wracali; po jakimś czasie i tak wszyscy odchodzili – nie mogli wytrzymać takiego tempa), ale cóż zrobić, i nowo poznani nie są gorsi od poprzednich znajomych.

Do wszystkich tych osób wokół siebie – i nowych, i starych – zawsze odnosił się tak samo. Gdy myślę o tym teraz, to wydaje mi się, że jak mało kto był równorzędnym partnerem dla wszystkich – bez względu na płeć, wiarę, rasę i status społeczny. I jednocześnie wszyscy, którzy mieli z nim styczność, byli świadomi, że mają do czynienia z osobowością niepowtarzalną i wyjątkową, której we wszystkim należy przyznawać rację. Najbardziej tajemnicze, a jednocześnie pociągające w nim było to, że mimo iż uparcie i chwiejnie kluczył, sprawiał wrażenie człowieka posiadającego cel – cel, którego my nie potrafimy zobaczyć; człowieka podążającego we wszystkich swoich poczynaniach pod dyktando jakiejś gwiazdy – dla nas niezrozumiałej i bezlitosnej.

Czy to niesiony ciekawością, żądzą poznania przeznaczenia, czy to głodem fizjologicznym szukającym nowych doznań, czy to wrodzonym łaknieniem „niebezpiecznego życia”, on zawsze lekkomyślnie podążał za tą swoją absurdalną kometa jaśniejącą zza jego grubych szkielec i za sprawą bezbłędного instynktu wynajdywał uciążliwości, niebezpieczeństwa, komplikacje, konflikty, z których zawsze niczym Feniks odradzał się na nowo, wychodził bez szwanku.

Ludzie go nie lubili (zresztą, dlaczegoż mieliby go lubić), ale mimo iż całą prawdę o nim znali, to jednak ciągle mu towarzyszyli w jego poczynaniach. Lgnęli do niego, nawet jeśli tarapaty, w które za jego sprawą wpadali, były dla nich daleko bardziej niebezpieczne niż dla niego samego. Z perspektywy mułowatej monotonii ich własnej egzystencji, jego życie sprawiało wrażenie świeżego, niczym powiew górskiego powietrza. Wydaje mi się, że zachłannie upajaliśmy się przy tym źródle energii witalnej, przy tym niestrudzonym dążeniu do zmiany, szukając w jego istnieniu wszystkiego tego, czego brakowało naszemu. Zdawało nam się chyba, iż przy jego pomocy uwolnimy się od tego dojmującego poczucia, że cokolwiek robimy – cokolwiek w ogóle możemy zrobić – że to wszystko jest bezsensowne i bezużyteczne. Zawsze chcieliśmy wierzyć, że on miał cel. Nigdy o nim nie mówił. Ale któżby nie pomyślał, że człowiek działający z taką energią musi mieć jakiś cel.

Teraz, gdy o tym opowiadam, z większą wyrazistością widzę, że jego lekkomyślne i bezsensowne postępowanie w każdej niemal okoliczności, nawet najbardziej niebezpiecznej, bezpardonowe odkrywanie nowego i nieznanego – że wszystko to powodowane było brakiem poczucia zagrożenia. Być może przeczuwał, że takie czy inne przedsięwzięcie nie będzie miało dla niego żadnych następstw, i może właśnie dlatego poszukiwał, nerwowo i histerycznie, okoliczności skutkującej jakimikolwiek konsekwencjami. A może nad nim – nad takim, jaki był, słabo widzący, nieporadny, dziecinny i mizerny (znacznie bardziej niż my pozostali) – czuwała ta jego gwiazda.

I zdradzam go po raz trzeci. Wydaje mi się, że już samo pisanie o przyjacielu jest zdradą – i stwierdzam, że był z pewnością dziwakiem, ponieważ pomimo tego wszystkiego – lub może z tego właśnie powodu – sprawiał wrażenie człowieka szczęśliwego. W sposób nieco osobliwy, ma się rozumieć. Był rodzajem szczęśliwego głupca, trzeciego syna, Jaśka Głuptaka, a może też oświeconego proroka, natchnionego

jasnowidza, bełkotliwego mesjasza. Nigdy na nic nie narzekał. Zdawało się, że nigdy nie jest zaniepokojony ani niezadowolony.

Niekończące się przeciwności losu dotyczyły go w taki sposób, że wydawało się, iż wszystko mogło skończyć się jeszcze gorzej, i że zaistniałe wydarzenie jest najlepsze z możliwych w danych okolicznościach. Z zawiłych labiryntów komplikacji uchodził zawsze z uszczerbkiem, który dla innych mógłby być tragiczny i fatalny w skutkach; dla niego był on niemal jak odnaleziony skarb piratów, zdobyty za sprawą jemu tylko przeznaczonego uśmiechu Fortuny. Swoje blizny nosił jak order.

Dostrzegałem w nim, a zdarzyło mi się to pierwszy i ostatni raz w życiu, autentyczne i praktyczne poczucie szczęścia. Dla nas wszystkich szczęście było tym samym: ciągiem nieodległych zadań, łagodnymi schodami znikającymi za rozświetloną mgłą. Jego zaś szczęście, tak się przynajmniej nam wydawało, było czymś nadludzkim, granitową pochodnią wyrastającą ponad tę mgłę. Lub może – jak podświadomie odczuwaliśmy przez ciągłe pulsowanie jego hysterii – było to rzeczywiste, nielogiczne szczęście samego nagiego życia. Coś jakby szczęście samo w sobie.

Jak mniemam, jego losu nie mógłby znieść nikt inny oprócz niego samego. Inny w jego skórze – o ile by w ogóle mógł to wytrzymać choćby przez jakiś czas – byłby jak Hiob, budziłby współczucie, więc szybko przekazaliby go pod opiekę organizacji społecznych jako materiał dowodowy potwierdzający istnienie gatunku nieszczęśnika. Ale Roko właśnie w takiej skórze kwitł jak lodowe róże, które kwitną tylko w zamrożonych oknach.

Górował nad innymi z dwóch powodów – nic nie posiadał (ani domu, ani krewnych), a jednak nie był sam. Nigdy nie słyszałem, skąd pochodzi, nikt nie mógł powiedzieć, że wywodzi się z tego samego regionu, nikt nie mógł uznać go za brata. Nigdy nie dowiedziałem się, gdzie mieszka. Ale nie był sam.

Czy byliśmy dla niego przyjaciółmi, czy zwyczajnie byliśmy mu potrzebni, tak jak on był potrzebny nam? Nie wiem, jak nas traktował. Ale zawsze był z masą ludzi powiązany szeregiem niewytłumaczalnych i zagmatwanych relacji, które się wzajemnie przeplatały, dopełniały, stały w sprzeczności, a naraz rozkwitały. I tylko on jeden pannał nad tym trudnym do rozplątania kłębkim zależności, które – podobnie jak wszystko inne i zupełnie jak w życiu – skutkowały dla niego tylko kłopotami, spięciami, problemami.

Ale wszystko to przyjmował z radością, z nieposkromioną energią, promieniejąc szczęściem, którego do dzisiaj nie pojmuję, którego pewnie nigdy, póki żyję, nie zrozumieć. Miał zawsze czas dla innych, miał zawsze na nich siłę. A jednak nie nazwałbym tego poświęceniem czy altruizmem. To złe słowa. On, zdaje się, tak musiał. On być może mógł być sobą tylko w innych. On być może nie miał innego szczęścia niż nieszczęście.

A zresztą, któż by to wiedział? Z pewnością nigdy nie był sam, bo wokół niego zawsze byli jacyś ludzie, zawsze go obarczali swoimi udręcami, zawsze pozwalali, by ich prowadził przez labirynty swoich nieskończonych działań zmierzających ku czemuś, do czego nigdy sami by nie doszli.

Być może wszyscy ci ludzie – włączając w to i mnie samego – mieli wrażenie, że ktoś taki jest potrzebny. Niekoniecznie im samym, ale pewnemu ogólnemu, nieuchwytnemu zamysłowi, jakiemuś duchowi czasu, jakiemuś pierwotnemu życiowemu prawidłu, jakimś wartościami przekraczającym zwyczajowe pojmowanie.

Nie przyznawali się wprawdzie do tego. Nie przyznaliby się do tego nawet we śnie. Zasady w głównej mierze obaliliśmy; wartości były martwe lub w mgnieniu oka odchodziły do lamusa. Gdy mówiło się w towarzystwie o Roku, machali ręką z rozbrajającym uśmieclem: „Dziwak! Ten człowiek nie zna granic”. Ale od razu zaczynali opowiadać o jego najnowszym dziwactwie.

Z Roka, jakiego ja znałem, pozostała z czasem legenda, która go całkowicie pochłonęła. Nikt dzisiaj – ani ja, ani pozostali – nie wie o nim nic ponad to, co zachowało się w legendzie. W tej legendzie, jak to zazwyczaj bywa, jest on na swój sposób lepszy i gorszy niż w rzeczywistości. Jego samego nie ma, jak i mnóstwa innych naszych przyjaciół. Dlatego napisałem ten wstęp: wiem, że w kolejnych fragmentach nie uda mi się ożywić człowieka, którego znaliśmy. Ten człowiek i ten świat jest tutaj, czytelniku. Dla ciebie.